№ 46. Rok XXXIII

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia $\frac{2}{(14)}$ Listopada 1891 r.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dalszy ciąg.)

— Nie bój się, duszko—uspokajał pan Michał,—to są przecież nasze konie, nie dorożkarskie szkapy.

Swoją drogą pani nie uspokoiła się, aż dopiero wtedy, gdy zaczęły się piaski, w których ciężko było spasionym szkapom ciągnąć powóz z czterema osobami.

— Jak-że ci się okolica podoba? — zapytał pan Michał żony.

— Bardzo ładna, zupełnie jak w Miłosny, piasek taki sam, tylko lasu niema.

— Ktoby tam się dziś bawił w wielkie lasy. Kolej blizko, węgiel kamienny niedrogi.

Panna Jadwiga zauważyła, że okolica jest dość przyjemna.

— To nic — odrzekł ojciec. — poczekaj, jak zobaczysz Marysin, to zachwycona nim będziesz z pewnością. Jaki dworek, jaki ogród! Szkoda — dodał z westchnieniem, — że niedługo cieszyć się tą posiadłością będziemy.

— Dlaczego?

— Bo sprzedamy Marysin, moje dziecko, już ogłosiłem w „kuryerach."

— Już? — rzekła pani zdziwiona; — czyś się nie zanadto pośpieszył, mój mężu?

— Wymówię sobie letnie mieszkanie do Września; adwokat mówił, że najkorzystniej będzie sprzedać z wolnej ręki i radził żeby ogłosić zaraz, nie odkładając. Palnąłem też ogłoszenie mniejwięcej w tych słowach: "Jest do sprzedania folwark w blizkości Warszawy, niedaleko kolei żelaznej, gleba urodzajna, łąki, rzeka, rezydencya, ogród, inwentarz żywy i martwy, budynki. Cena przystępna, wiadomość u właściciela na miejscu. Stacya kolei X., wieś Marysin." Sypną się zaraz kupcy i wciągu tygodnia rzecz ubiję. Sumę Jadwini wycofam, kapitalik włożony w folwark również i może nawet z pewnym zyskiem. Lato przepędzimy jak w raju i zostanie nam przyjemne wspomnienie sielanki.

Pani Michałowa uśmiechnęła się.

— Wiesz co, mój mężu — rzekła, — że ten powóz jest jednak bardzo wygodny.

— Spodziewam się. Widzisz, duszko, doczekaliśmy się nareszcie własnego ekwipażu. Jest-to rzecz przyjemna, ani słowa.

— Szczególniej w Warszawie, w Alejach Ujazdowskich — dodała panna Jadwiga.

Mikołaj przynaglał do biegu spasione szkapy; dyszały one ciężko i niecierpliwiły się, nieprzyzwyczajone do takiego pośpiechu. Jeden zaczął się wspinać, drugi wierzgać, a Mikołaj, którego grzała wewnątrz gorzałka, a z zewnątrz słońce, wpadł w gniew i okładał niesforne rumaki biczem. Panie przerażone krzyczały, pan Michał doznawał również pewnej obawy.

— No, Mikołaju— rzekł, — daj im pokój... wolno, wolno...

— Jaśnie pan kazał...

— Zmieniłem projekt. Wprost przeciwnie; jedź powoli, bo chcemy przypatrzeć się zbożu.

Udało się jakoś ułagodzić rozbrykane zwierzęta i powóz szczęśliwie zatoczył się przed dworek. Pani przedewszystkiem zaczęła oglądać mieszkanie: badać kuchnię, śpiżarkę, piwnicę; panna Jadwiga zaś ledwie rzuciła okiem na mieszkanie, pobiegła natychmiast do ogrodu. Tu zachwycało ją wszystko, drzewa, trawniki, kwiaty, altanka dzikiem winem ocieniona. Upajał ją zapach rezedy i róż kwitnących.

— Tu jest bardzo ładnie — rzekła do ojca, który za nią podążał, — nie spodziewałam się, że tu znajdę tak miłe ustronie.

— To nic — odrzekł rozentuzyazmowany pan Michał, — po obiedzie zobaczysz naszę rzekę i łąkę. Rzeka szczególniej godna jest widzenia; po obu jej brzegach krzewy rozmaite rosną, woda nie taka jak w Wiśle, lecz czysta, dno przez wodę widać, taka przezrocza. Są w niej rybki i raki, kazałem Walentemu nałapać. Pyszna rzecz!

Nawet pani Michałowa niewiele znalazła do zganienia i wogóle zadowolona była z letniej siedziby. Obiad spożyto na werandzie, na świeżem powietrzu, poczem pan Michał rozparł się wygodnie w fotelu i drzemać zaczął. Miły wietrzyk chłodził mu łysinę i usposabiał do marzeń...

Nagle marzenia te zostały przerwane ujadaniem psa, na dziedziniec wtoczyła się bryczka żydowska

i z niej wysiadł jegomość jakiś gruby, z krótką, przystrzyżoną brodą, ubrany niewykwintnie, w długich butach i pomiętym kapeluszu.

Wszedł wprost na ganek, w ręku trzymał gazetę.

— Pan właściciel? — zapytał przebudzonego nagle pana Michała.

— To jest... ja, no tak, ja jestem właściciel... Czem mogę panu służyć?

— Pan ogłaszał, że majątek ten na sprzedaż?

— Ja... ale z kimże mam honor?

— Jaki honor, na co honorować? Dziwirejko się zowię, zpod Suwałek jestem, mająteczku szukam, w Warszawie bywszy, oto kuryera kupiłem, no i jestem. Mówili mi, że w Warszawie sama blaga, i prawda. No, panie kochany, nie godzi się tak ludzi tumanić.

— Czego pan odemnie chce?

— Ja wiem co ja chcę, pan ogłasza, że majątek sprzedać chce... a to nie majątek, a wydma!

— Jeszcze go pan nie obejrzał, panie...

— Dość i tego co widziałem, oglądać więcej nie trzeba. Powarszawsku dalipan, powarszawsku. „Gleba urodzajna,” jaka gleba? toż piasek, dziewanna tu rośnie, gdzież urodzajność?! Łąki, rzeka, pytałem Żyda, powiada że łączki kawałek: „rezydencya,” ha! ha! no już, panie, tego nie rozumiem... Podług pana to rezydencya, podług mnie chałupa.

Pan Michał zaczerwienił się, jak burak.

— Czy pan poto przyjechał, żeby mi impertynencye mówić.

— Nie, panie, ja jechał żeby majątek kupić, a przyjechawszy, widzę taki, że trzeba impertynencye mówić.

— Ja ich słuchać nie myślę; wolna wola kupić, wolna nie.

— A za pozwoleniem, paneczku... jak się ma kota, to nie trzeba ogłaszać, że do sprzedania jest lew. Mała rzecz a w nosie kręci, jak pan sobie chcesz, a to nie ładnie... kot, to kot, ochota komu kupić, niech kupuje. Jeden lubi czarnoziem, drugi lubi piasek i ja takoż padam do nóg za piasek, pisaniną się nie bawię, zasypywać atramentu nie potrzebuję.

— Więc nie kupuj pan, nie przymuszam.

— Pocóż ogłaszać? Ja koszt poniósł, ja wydatek zrobiłem.

— Panie! ja tysiączne wydatki ponoszę i nic nie mówię. Zresztą o co mamy się sprzeczać? Nie podobało się, jedź pan z Bogiem.

— Jak raz! pocóż przyjechałem, szkoda kosztu... kupić nie kupić, a potargować można. Gałgaństwo to, widzę że gałgaństwo, ale obejrzę szczegółowo, o cenę zapytam. Drukowano, że przystępna. Ileż to na przykład rubli?

Pan Michał wymienił sumę. Dziwirejko śmiechem wybuchnął.

— Komedya! ot komedya warszawska!

— Panie!

— No, no, w handlu niema gniewu, a ja człowiek szczery, co czuję powiadam. Nie krzyw się, panie dobrodzieju, a chodź, po polach oprowadź, pokaż tę całą biedę; krówki wasze, koniki, owieczki, budynki. Bułkę kto kupuje i to na wszystkie strony obejrzy.

— A no to chodźmy — rzekł pan Michał.—Każę Walentego zawołać.

— Cóż to za taki Walenty?

— Karbowy mój.

— Chłop?

— Zdaje mi się, że chłop.

— Mówią, że pod Warszawą i chłopi lubią blagować; powietrze takie snać.

— Przestań-że pan raz nareszcie z tą blagą.

— No ładnie, przestanę, chodźmy w pole, tylko ja szczerze panu powiem, głodny jestem. Przyjedź pan do nas pod Suwałki, zobaczysz jak uczęstujem.

— Ależ z największą przyjemnością, najchętniej, bardzo proszę. W tej chwili każę podać.

Pan Michał poszedł wydać dyspozycyą, a gość na ganku pozostał. Bystrem okiem znawcy objął wszystkie budynki i ocenił je na poczekaniu, potem wodził wzrokiem po bliższych polach i patrzył na zboża, mrucząc coś pod szorstkiemi wąsami. Gdy podano jedzenie, był już mniej pesymistycznie usposobiony. Wypił jeden i drugi kielich wódki, zjadł kawał pieczeni, masę wędlin, a potem bez ceremonii krótką fajeczkę nałożył i zapalił.

— Bóg zapłać — rzekł; — najadłszy się, w pole teraz można.

Poszli z panem Michałem i Walenty się powlókł za nimi.

Dziwirejko coraz lepszy miał humor.

— Słuchaj-no ty, ciwunie, czy jak tam — rzekł do Walentego, — u was rola biała?

— Taka jak Bóg dał, wielmożny panie.

— A wiesz, że na czarnej roli chleb się rodzi, a po białej pies chodzi?

— Wiadomo, wielmożny panie, ale zawdy u nas ludzie chleb jedzą, a boćwiną i inszem zielskiem wieprze karmią.

— Ty, ciwunie, pewno się ślepy urodził?

— Może i ślepy, ale zawdy dojrzę, czy kto ma rozum, czy głupi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA działalności kobiecej.

Wspominaliśmy już kilkakrotnie na tem miejscu o petycyach, wnoszonych do właściwych parlamentów przez kobiety austryackie i niemieckie, które upominają się u swych rządów o równouprawnienie na polu naukowem i politycznem. Pierwszym jego stopniem miało być dopuszczenie dziewcząt do wyższych zakładów naukowych, lub otworzenie dla nich szkół osobnych, z równym męzkiemu programem wykładowym.

Petycya ta przyszła właśnie w ubiegłym tygodniu pod obrady wiedeńskiej Izby deputowanych. Jaki los ją spotka, czy przejdzie większością głosów i pozyska prawo obowiązujące dla mieszkanek austro-węgierskiej monarchii, dotąd niewiadomo. Same jednak obrady tryumfem są dla sprawy kobiecej. Bo oto w dniu 4 Listopada obiegła z szybkością iskry elektrycznej cały świat cywilizowany depesza, że przy naradach nad budżetem, znany z konserwatyzmu swego minister oświaty, Gautsch, przemawiał publicznie za tem, aby lekarkami kobiet były w przyszłości kobiety tylko. Brak zaś wykwalifikowanych doktorek pociąga za sobą otwarcie niewieścich fakultetów medycznych.

Nie na tem jednak koniec. Sprawa kobieca jest dziś falą wezbraną przez dopływ tysięcy drobniutkich strumyków, z biedy, łez, niedoli i upokorzenia złożonych. Prądy jej nurtują tak głęboko, iż biegu ich spokojnego napozór, lecz niewzalczonego, nic już powstrzymać nie jest wstanie.

Poczuli to ojcowie narodu, w parlamencie wiedeńskim zebrani. Ztąd też, wnet za pierwszą depeszą, doniósł nam telegram z dnia 6 Listopada, iż sprawa kobieca zajęła znów obrady Izby deputowanych. Tym razem zaś występuje ona w formie bardziej stanowczej i zdecydowanej. Chodzi o wyłom w dotychczasowym budżecie szkolnym. Deputowany Hoffman żąda śmiało wyższych szkół dla kobiet, aby mogły samoistnie zarabiać na życie. A chcąc faktami przekonać opornych, przytacza on, iż na jednem tylko przedmieściu naddunajskiej stolicy, „Widyń” zwanem, trzy piąte kobiet nie może wyjść zamąż i własnych ognisk rodzinnych założyć, zpowodu statystycznie stwierdzonego braku mężczyzn. Cóż więc dziewczęta te mogą począć bez punktu oparcia i bez widomego celu w życiu? Czy cierpiąc same biedę, mają być koniecznie ciężarem społeczeństwa, szerszeniami, które, wziąwszy rozbrat z ambicyą, żywią się cudzym potem i cudzą pracą krwawą?

W samej Austryi — dowodził mówca dalej, — nadwyżka kobiet wynosi półtora miliona. Nawet więc gdyby zmuszono wszystkich kawalerów do żenienia się, nie starczyłoby ich jeszcze na potrzebę.

I chcąc humorem zrobić wyłom w pancerzu konserwatyzmu, niedającym się przez rozumowanie poruszyć, deputowany twierdzi, że należy dać albo środki do zarobkowania i życia tym setkom tysięcy kobiet bezdomnych, lub też zdecydować się na legalne wprowadzenie wielożeństwa.

Czy przyjdzie do ustanowienia praw i reform żądanych, nie wiemy. W każdym jednak razie, śmiałe mowy wypowiedziane w parlamencie wiedeńskim stanowią wyłom w murach uprzedzeń, furtkę, która przed kobietami, ogniska rodzinnego pozbawionemi, otworzy zczasem szerokie pole karyery społecznej i naukowej.

Twierdzenie to wydaje nam się tembardziej uzasadnionem, iż równocześnie z przytoczonemi powyżej obradami Izby deputowanych, wiedeński Związek kształcenia kobiet (Verein für erweiterte Frauenbildung) ogłasza list kardynała Gilebon, wywołany przez założenie jednej ze szkół medycznych dla kobiet, a wpierw już wydrukowany w „Century Magazine.”

Wielki dostojnik kościoła, zajmujący się widocznie żywo prądami chwili, obwieszcza w piśmie tem wiernym, iż ani przepisy duchowne, ani prawa kanoniczne nie sprzeciwiają się nigdzie i w niczem wyższemu wykształceniu kobiet, oraz studyom ich medycznym. Przeciwnie, przypominając, że już w wiekach średnich niewiasty zajmowały katedry lekarskie na uniwersytetach w Salerno i Bolonii, Jego Eminencya zachęca je gorąco do nauk lekarskich. Czyni to zaś — brzmią słowa listu pasterskiego, — zarówno w imieniu milionów cierpiących kobiet i dzieci, jak w imieniu wpływu moralnego na ludzkość całą. Wspólne bowiem studya, równoważąc przez słodycz i wiarę kobiety zbyt pochopny do negacyi sceptycyzm męzki, mogą się stać najpotężniejszym czynnikiem moralnego odrodzenia społeczeństw.

Tę samę snać zasadę przenosi na inne pole mrs. Belva Lockwood, której obszerną sylwetkę podaje nam organ „Powszechnego stowarzyszenia kobiet.” Znana ta adwokatka amerykańska, a zarazem wielka agitatorka wcelu pozyskania praw politycznych dla kobiety, doszła do niebywałego zaszczytu. Oto podczas ostatnich wyborów, postawiono w wielu okręgach kandydaturę jej na prezydentkę Stanów Zjednoczonach. Ona też pierwsza założyła przed

15 laty jedyną dotąd szkołę, przygotowującą kobiety do karyery adwokackiej.

Dla nas ta prezydentura olbrzymiego kraju wydaje się czemś nadzwyczajnem. Trzeba jednak uwzględnić — przytacza rzeczone pismo,—iż w takiem Kansas i wielu innych stanach, kobiety używają oddawna praw municypalnych, są burmistrzami, urzędnikami stanu cywilnego i t. d. Obiór więc niewieściego prezydenta Stanów Zjednoczonych jest już tylko dalszem następstwem pojedynczych tych zdobyczy. Wszak w wielu kościołach spotykamy tu kobiety na ambonach kaznodziejskich, wszystkie prawie średnie szkoły rządowe są pod wyłącznem ich kierownictwem, na katedrach zaś uniwersyteckich widzieliśmy także znaczną liczbę ufryzowanych a uczonych główek.

Wogóle Ameryka klasyczną jest ziemią dla działalności kobiet. P. Susie Hall-Wheeler wynajduje tam niedawno wyborny przyrząd do czesania bawełny i oszczędzając przy oczyszczaniu jej mnóstwa pracy rękom ludzkim, ogólne zjednywa sobie pochwały. W Clarkbury, w zachodniej Wirginii, jak świeżo doniosły dzienniki, dyrektorowie kolei Pennsborough-Harrisville wybrali prezesem swoim p. Hattie M. Kimbell, niewiastę energiczną podobno, a gruntownie ze sprawami kolejowemi obeznaną.

Porzućmy jednak przykłady pojedynczej wytrwałości.

W zbiorowem działaniu zachodzą Amerykanki dalej jeszcze. Oto „Klub Isabelle" założony w roku 1889 przez stowarzyszenie kobiet w Chicago, wznosi własnym kosztem gmach, przeznaczony na niewieście kongresy międzynarodowe. Członkowie mają za opłatą dolara od osoby zbierać się tu wcelu roztrząsania spraw przemysłu, oraz odbywania narad i konferencyj w przedmiocie sztuk, handlu, literatury etc.

Nawet Czeszki dają się porwać temu wszechpotężnemu prądowi. „Ženské listy" donoszą bowiem, iż p. Zemenowa założyła w Clevelandzie, na wzór „prazského spolku vyrobnikou" stowarzyszenie niewieście, mające na celu kształcenie dziewcząt czeskich w Ameryce.

Jedna z przedstawicielek tej rozgałęzionej działalności, obejmującej wszelkie szczeble drabiny społecznej, bawiła świeżo w Warszawie. Była nią pani Stern z domu Lewandowska, doktorka medycyny, zajmująca katedrę ginekologii na uniwersytecie w Filadelfii.

Pani Stern, znakomitość w zakresie ginekologii, studya medyczne odbywała jako mężatka, a żona redaktora jednego z wybitniejszych pism amerykańskich. Do nas zawitała ona wcelu odwiedzenia rodziny swej i—być może—wcelu przypatrzenia się nieznanym stronom, w których tak wiele mówi się o pracy kobiecej, a tak mało działa w jej zakresie. Dowodem tego, iż doktoryzowanie się p. Rozalii Szajdermanówny na uniwersytecie w Paryżu i osiedlenie się jej jako lekarki w Łodzi, dzienniki nasze podnosiły z uznaniem, jeżeli nie ze zdziwieniem. Fakty takie uważa się jeszcze za odosobnione i sensacyjne poniekąd.

Lepiej już nieco przedstawia się sprawa sztuki, stosowanej do przemysłu.

Tu pracownic legion naliczyć można. A choć legion ten wiele ma z miernotą wspólności, miło słyszeć, że na przepełnionem tem i wskutek częstego partactwa najsłuszniej wyśmiewanem polu, siły wybitniejsze zaczynają zaznaczać zdolności swe i odrębną indywidualność. Międzynarodowa wystawa ornamentacyjna prac kobiecych w Antwerpii odznaczyła w tych czasach rodaczkę naszę, p. Ludwikę Borowską, uczennicę znanego malarza L. Wiesiołowskiego.

Równocześnie na takiejże, lecz skromniejszej wystawie u Krywulta, znaleźć się mają i wyróżnić dodatnio szkoły artystyczne: wileńska p. Porazińskiej, kijowska p. Szwojnickiej oraz żytomierska p. Bobrowskiej. Jedna zaś z Warszawianek, po skończeniu specyalnej nauki w paryzkiej szkole sztuki stosowanej do przemysłu, otworzyć ma w naszem mieście kursy inkrustacyi drzewnej. Gałęź to wyrobów pięknych, a w kraju naszym z próbek zagranicznych tylko znanych. Czy przemysł ów będzie miał u nas przyszłość przed sobą, nie przesądzamy. Sądzę jednak, że wobec znacznie rozgałęzionego wyrobu mebli, które na wschodnie rynki idą nawet, wiele pracownic mogłoby tu znaleźć stosowne zajęcie.

Kto wie zaś, może ręka ich delikatna i smak na dobrych wzorach wykształcony, wyrugowałyby tę szablonową tandetę, wskutek której lepsze meble sprowadzają się często z za granicy, bo znaczna liczba tutejszych wyrobów razi poczucie estetyczne złem wykończeniem, banalnością kształtów i cechą stałą sprzętów restauracyjno-hotelowych.

Niech więc kobieta wniesie tylko do gałęzi tej wrodzony sobie smak wytworny i delikatność wykończenia, a nabywcy znajdą się z pewnością.

Skoro zaś raz na pole własnej weszliśmy pracy, nie mogę pominąć bez słów uznania dwóch imion kobiecych.

Pierwsze z nich chwyta nas za serce pomysłem tylko, bo dzieła nie widzieliśmy jeszcze. Oto wśród publicznie stawianych zarzutów, iż nie umiemy czcić pamięci mistrza tonów, Szopena, p. Marya Braumanówna, jakby na dowód, iż ten, który boską harmonią swych utworów najwięcej kobiecemi wstrząsał sercami, wśród nich zapomnianym nie został, wykończa i wystawić ma w Towarzystwie zachęty biust nieśmiertelnego twórcy balad i koncertów.

Druga z dzielnych pracownic, na polu więcej niż rzeźba przez kobiety uprawianem, p. T. Prażmowska, wydała świeżo, za pośrednictwem firmy T. Paprockiego, obszerny, a doskonale opracowany „Podręcznik do nauki literatury powszechnej." Ocena literacka pracy tej nie należy do naszego działu. Zaznaczamy ją też jedynie, jako dzieło niewieście, w samę porę wykonane, brak bowiem podręcznika takiego w edukacyi domowej dotkliwie czuć się dawał. Nie wątpimy też, iż autorka za znaczny nakład pracy i staranne jej wykonanie spotka się z należnem u wychowańców uznaniem; że „Podręcznik" jej, znajdując się w każdym domu inteligentnym, ułatwi kobietom naszym zapoznanie się ze skarbami umysłowemi innych narodów.

Anatol Krzyżanowski.

Korespondencja z Paryża.

O ubiorach.

Paryż, 12 Listopada 1891 r.

W pismach tutejszych wszczęła się polemika zpowodu przyjętej obecnie mody. Jedni zarzucają mieszaninę rozmaitych stylów, a ztąd brak harmonii, inni, przeciwnie, widzą dowód wytrawnego smaku, w tej swobodzie, niekrępującej się żadną, obmyślaną zgóry formą. Paryżanki nie zważają na te dziennikarskie spory, noszą suknie obcisłe, jakie noszono przed stu laty w epoce Dyrektoryatu, kapelusze z małą główką i wypuszczonem rondem z czasów pierwszego cesarstwa i płaszczyki okrągłe, sięgające epoki Walezyuszów.

W formie sukien wielka panuje rozmaitość. U strojnych stanik bywa z bawetem, lub też okrągły z szarfą związaną na małą kokardę, kostiumy wełniane robią z długą żakietką obcisłą w plecach, otwartą z przodu, na równie długiej kamizelce, inne znów kostiumy, w formie *princesse*, mają stan nieodcięty od spódnicy, przednie ich poły krzyżują się na piersiach i spinają na lewym boku. Wszystkie te suknie i kostiumy w tem tylko zbliżone do siebie, że spódnica u nich krajana okrągło, płaska zupełnie wgórze, powłóczysta mniej lub więcej udołu.

Co do kolorów, główną nowość tegoroczną stanowi różowy w rozmaitych odcieniach *vieux rose*, wpadający zwykle w ceglasty lub jasno miedziany. Jak w roku zeszłym spotykaliśmy cochwila kapelusze przybrane żółtą wstążką albo egretką, tak dziś wpadają nam w oczy strojne kokardą lub piórkiem różowem. Widzimy też całkiem różowe kapotki z niestrzyżonego aksamitu z pęczkiem takichże marabutów.

Mówimy tu o kapeluszach do teatru lub na wizyty, co zaś do rannych przechadzek po ulicy, wytworne Paryżanki unikają jasnych kolorów, ściągających uwagę, noszą zazwyczaj kapelusik czarny lub szary kastorowy z kokardą i piórkiem tegoż koloru, przysłonięty czarną wualką.

Suknie różowe należą też do najpierwszej mody. Na rano przyjęto szlafroczki z flaneli różowej, na wizyty kostiumy z różowego wigoniu lub sukienka, na obiady proszone suknie z różowej materyi *gros de Tours*, lub z brokateli w deseń, na bal z jedwabnego tiulu albo z krepy różowej. Wiele też daje się widzieć sukien czarnych jedwabnych w brosowany rzucik różowy na różowej kamizelce, pokrytej czarną lekką pasmanteryą. Na wieczory noszą suknie czarne koronkowe, na różowej materyi surah, przystrojone takiemiż kokardami.

Powiedzmy teraz obszerniej o kapeluszach zimowych, których moda zupełnie już ustalona. Uważamy trzy ich rodzaje: naprzód okrągłe z maleńką główką i wystającem rondem, zazwyczaj kastorowe, potem maleńkie aksamitne kapotki, nakoniec toczki bądź aksamitne, bądź kastorowe, a niekiedy sukienne, otoczone futerkiem lub opaską z piór strusich.

Jeden z wielkich magazynów bulwarowych wystawił właśnie cały zbiór kapeluszy na tę porę. Dajemy tu szczegółowy opis tych, które najwięcej wpadły nam w oko.

Kapotka czarna aksamitna, rondko maleńkie ułożone w trzy kontrafałdy, objęte wązkim paskiem z czarnego pióra strusiego, nad tem kokarda płaska z bladoróżowej wstążki atłasowej, wpośrodku ptaszek kolibri z rozpostartemi skrzydełkami; szarfy różowe do związania pod brodę.

Drugi kapelusz kastorowy szary z długim puszystym włosem, główka maleńka płaska, rondo szerokie wystające naprzód, nad niem wielka kokarda tegoż koloru, przepięta główką wgórę.

Trzeci toczek ciemnozielony, aksamitny, opasany kokardą w kolorze skóry (*cuir de suede*), zboku pęczek piór strusich tegoż koloru.

Czwarty toczek aksamitny czarny, objęty paskiem tumaków, z główką tego zwierzątka.

Piąty toczek, do teatru, ciemnomorderowy, okręcony sznurem złotym, ze spadającemi na lewy bok chwastami.

Jako dziwactwo mody zapisujemy tu jeszcze kastorowe toczki z płaską szeroką główką w rodzaju furażerki wojskowej, nad czołem obciśnięta opaska czarna aksamitna, jeden pęczek piór wpięty na przedzie, drugi podniesiony wgórę od tyłu. Szarfy z aksamitki związują się pod brodą.

Wspomnijmy tu jeszcze śliczny dobór kapeluszy z magazynu pani Berty Lareille. Zwrócił uwagę naszę kastorowy szary; rondo wystające zahaftowane u brzegu w klarowny deseń jedwabiem, w dwóch kolorach, brązowym i złotawym. Zwierzchu wpięta egretka z lekkich brązowych piórek na kokardzie atłasowej złotawego koloru.

Inny kapelusz kastorowy w szaro-popielatym odcieniu, rondo otoczone puszystym brzegiem, tak zwierzchu jak na spodzie. Wśrodku upięta kokarda z wstążki w odcieniu śmietankowym, ponad nią pęk piór strusich w tymże odcieniu.

Dodajmy tu bardzo ładną kapotkę w guście niepospolitym. Jest-to upięty fanszonik z szarego sukienka, obhaftowany w ząbki jedwabiem czarnym i dżetami. Nad czołem podpięte dwie kokardy z rzęsistych pukli, odwrócone od siebie, jedna blado-różowa, druga zielonkowata, zwierzchu spada na nie leciuchne piórko szare. Szarfy szare atłasowe dopełniają ubrania.

Przejdźmy teraz do sukien. Widzieliśmy kilka bardzo gustownych w magazynie „Au Trois Quartiers," gdzie w tych dniach ogłoszono wystawę. Najstrojniejsza z jedwabnego pekinu blado-zielonego *vert d'eau*. Spódnica ma tren średniej długości bez żadnego garnirunku. Przód od jednego boku do drugiego, nagarnirowany w kontrafałdy, koronką szeroką na ćwierć łokcia, między kontrafałdami ciągną się rzędem kokardy z wstążki atłasowej w tym samym jak suknia kolorze. Stanik otwarty zprzodu, przybrany koronką i kokardami, pod spód szmizetka marszczona z muślinu jedwabnego. Do tego dwie pary rękawów, jedne z pekinu, niezbyt szerokie wgórze, wązkie u ręki, drugie złożone z buf muślinowych, przepinanych kokardami. Dopełnia ubrania szarfa atłasowa, związana wtyle na niewielką kokardę.

Zwrócił też uwagę naszę kostium z angielskiego aksamitu, na tle wydrowem, w drobny rzucik perski w żywych kolorach, z przewagą pomarańczowego. Spódnica nieodcięta, w formie princesse. Przednie poły, skrzyżowane na piersiach, łączą się z lewego boku. Od szyi wzdłuż spódnicy idzie szeroki szlak perski, odpasowany na aksamicie, takiż sam szlak otacza udołu spódnicę.

Inny kostium wizytowy z grubej napozór ale miękkiej tkaniny wełnianej na tle jasno orzechowem, zasianej w drobne różnokolorowe centki, przez to przechodzą szerokie pasy ciemno-brązowe gładkie. Krój *princesse* zapięty na lewym boku, brzeg obłożony futerkiem wydrowem.

Podobny kostium, na tle jasno-szafirowem, *bleu chasseur*, w centki, tem się różni od poprzedniego, że zamiast pasów, przechodzi krata ciemno-granatowa. Forma *princesse*, obłożenie z granatowego aksamitu, krata dawana w kierunku ukośnym.

Kostiumy do wyjścia na ulicę przyjęte powszechnie z gładkiego wigoniu, w ciemnych lub szarych kolorach, wiele z nich okładają futerkiem. Kostiumy te składają się z obcisłej spódnicy, przedłużonej wtyle, i z długiego żakiecika, zapiętego zprzodu na klapki, które można według woli otwierać. Pod spód idzie kamizelka aksamitna, spięta na drobne błyszczące guziki, lub też kolorowa, z materyi wguście perskim.

Zapiszmy tu wreszcie czarną suknię z wełnianej tkaniny w pioruny przerabiane czarnym jedwabiem. Spódnica płaska z trenem niezbyt długim. Udołu trzy riusze z materyi jedwabnej. Stanik marszczony, zakończony u szyi czarną jedwabną riuszą, przepasany szeroką szarfą jedwabną w zakładki, spiętą wtyle na kokardę. Rękawy obcisłe u ręki, od ramion spada bufa podpięta riuszą.

Mnóstwo widzimy żabotów rozmaitego rodzaju. Najlepiej nam się podobają muślinowe jedwabne, białe lub w jasnych kolorach, spadające w formie wachlarza, ogarnirowane koronką wenecką lub irlandzką. Wachlarzyk taki jest ujęty u szyi w opaskę tegoż koloru z małą kokardką zboku.

Rękawiczki duńskie zawsze przyjęte, ale tylko na pomniejsze wizyty i do codziennego ubrania. Na większe wystąpienie powrócono do rękawiczek ze skórki kozłowej, białych lub w perłowym odcieniu.

Seweryna Duchińska.

PANNA HELENA.

NOWELA

PRZEZ

S. GAY.

I.

Ludwik Meunier był korepetytorem w liceum w B... około roku 187... Biedny ten chłopiec umarł niedawno i lekarze nadali bardzo uczoną nazwę chorobie, co go zabiła. Ja, który go znałem, mogę wam powiedzieć, dlaczego umarł: oto zadużo pracował, zadużo cierpiał i znał same gorycze życia.

Ile razy przypomni mi się jego biedna, cierpiąca twarz, bardzo blada, a nadewszystko bardzo smutna, zaczynam gorzko żałować wszystkich udręczeń, jakie zadawałem wraz z towarzyszami temu wydziedziczonemu przez los.

Kiedym był w klasie V-tej w liceum w B..., Ludwik Meunier był naszym „pionkiem" czyli kozłem ofiarnym i celem wszystkich figlów, mniej lub więcej dowcipnych, jakie podobało nam się płatać.

Interni, stanowiący połowę klasy, zabawiali nas rano opowiadaniem tego, co wymyślili w nocy, żeby budzić korepetytora, który sypiał pośród nich, i gdy pan Meunier przychodził trochę mizerniejszy niż zwykle, bo niewyspany, nie posiadaliśmy się z radości.

My, eksterni, chcąc się także czemś popisywać, urządziliśmy policyą, żeby szpiegowała tego biedaka w dni rekreacyjne.

Zauważyliśmy, że kiedy po skończeniu lekcyj pan Meunier dozorował wychodzących uczniów, przed bramą liceum kłaniał się bardzo zarumienionej pannience, która często przechodziła tamtędy ze zwojem nut pod pachą.

Wyśledziliśmy również, że jest-to Helena Poinsier, że mieszka przy ulicy Fausfets, nieopodal liceum, i utrzymuje starą matkę z lekcyj muzyki.

Inne klasy wyprzedziły nas właśnie w nadaniu przezwisk korepetytorom. Siódma nazwała swego Elipsą, zpowodu szerokich ust; trzecia Rozwartokątem dlatego, że miał nogi wykręcone. Meunier otrzymał od nas miano „Panna Helena," pod którem był znany niebawem całemu liceum.

II.

Pewnego dnia jeden z „nowych," Jakób Duval, zobaczywszy pierwszy raz „pannę Helenę," zawołał:

— Cóż za zabawna figura! Ależ to wielbiciel tej nauczycielki muzyki, która mieszka z matką obok nas! Dopiero wam naopowiadam o nim!

Cała gromadka otoczyła go, garnęła się doń; żaden „nowy" nie pozyskał tak prędko popularności, jak Jakób Duval.

Wzamian za to, raczył łaskawie opowiadać nam wszystko co wiedział o pannie Helenie i jej narzeczonym, Ludwiku Meunier.

— Wyobraźcie sobie, moi kochani, że okno od ich mieszkania jest naprzeciwko mojego, w bardzo wązkim dziedzińcu. Gdy postawię krzesło na stole a taburet na krześle, to widzę wszystko, co się dzieje u sąsiadek naszych. Jestem wtedy na przedstawieniu, zupełnie jakby w loży pierwszego piętra w teatrze. Czasami boki zrywam ze śmiechu.

— Czy się jej bardzo zaleca? — zapytał jeden z malców, którego ta historya szczególnie zajęła.

— Czy się jej zaleca, głuptasku?... ależ on poto tam chodzi!... Jednakże wcale nie jest piękna ta jego Dulcynea... ani bardzo wesoła... ani ładnie ubrana... nic a nic nie ma szyku! A on odwiedza ją coczwartek i niedzielę z bukiecikiem fijołków za dwa soldy...

— Co za dar!... Ten człowiek musi być krezusem!...

— Ona mu tak dziękuje, jakgdyby to był bukiet za 20 franków, cały dzień nosi go przy staniku, a wieczorem kładzie troskliwie w wodę. Trzeba wam wiedzieć, moi kochani, że te panie wcale nie trzymają sługi; matka sama gotuje, a mała, jeśli jej nie pomaga, to gra swemu kawalerowi, śpiewa przeróżne czułości, których on słucha, przewracając oczy. Jak on się tam musi ubawić zawsze... ale ja się jeszcze lepiej bawię, patrząc na niego.

— Wiesz — przerwał mu jeden z uczniów, nazywany Leon Gautier, — wiesz że ona przechodzi tędy prawie codzień po lekcyach, ale nie mówią do siebie. On uchyla kapelusza, a ona mija go szybko, niemal nie spojrzawszy wcale.

— Wiem, wiem... Ale ja w swojej dostrzegalni słyszę także co mówią, jeśli okno jest otwarte. Jeśli który z was nie potrzebuje przygotowywać się

do egzaminu, niechaj przyjdzie do mnie w niedzielę, to się nasłucha ciekawych rzeczy. Najczęściej ich rozmowa krąży około tego: Jak zostanę profesorem i pobierzemy się, moja droga Helenko, to nie będziesz pracowała; ta praca wyczerpuje ci siły. Ty gospodarować będziesz, a ja będę dawał tyle lekcyj, żeby ci nie zbywało na niczem!" I wszystko jest w tym rodzaju!

— Coż to za idyoci z tych zakochanych!

— Parę dni temu dziękował jej za to, że przechodzi koło liceum, bo mu to dodaje otuchy na cały dzień, gdy ją widzi przez chwilkę. Ona zaczerwieniła się bardzo i skończyło się na pocałunku.

III.

Jakób Duval stał się ulubieńcem naszej klasy.

Codzień miał coś ciekawego do opowiadania o Helence, której przyglądaliśmy się bez ceremonii po wyjściu z liceum, tylko ponieważ korepetytor mógł odpłacić się nam za to, czekaliśmy na biedaczkę na rogu ulicy i tam, kłaniając się nizko, pytaliśmy ironicznie o „pana profesora," a ona, zarumieniona, uciekała czemprędzej.

Każdy szczegół jej ubrania ulegał krytyce i przeglądowi tych dzieciaków, dla których niema nic świętego.

Jej licha, znoszona sukienka, kapelusz pomięty od wilgoci, wszystko było wyśmiane; ta biedna dziewczyna była nieładna, o, bardzo nieładna, i ubranie nie podnosiło jej figury, może nawet i zgrabnej, ale miała układ skromny, szlachetny, który powinien był nakazywać nam szacunek.

Zresztą, pomimo prześladowań, Helenka przychodziła wytrwale, kiedyniekiedy, żeby w przelotnym uśmiechu swego przyjaciela czerpać siłę i odwagę, których tak bardzo potrzebowała w swym ciężkim zawodzie nauczycielki muzyki.

Narzeczeni mieli być z naszej winy pozbawieni tej chwili szczęścia.

Pewnego dnia Jakób kupił bukiecik fijołków i gdy Helenka, zarumieniona jeszcze i wzruszona widokiem narzeczonego, śpieszyła do domu, zatrzymał ją na zakręcie ulicy i ofiarował swe kwiaty.

— To od przyszłego pani — rzekł, śmiejąc się złośliwie.

Zbladła i, podnosząc nań smutne oczy, z których łzy już tryskały, powiedziała:

— Jakież to nikczemne z pańskiej strony!

Poczem, przedostawszy się przez otaczającą ją gromadkę, zniknęła.

Próbowaliśmy śmiać się z miny biedaczki, ale w głębi serca czuliśmy, że ten żart był zadaleko posunięty.

Helenka przestała przechodzić koło liceum, nie chcąc się narażać na nasze napaści, ale dokuczaliśmy za to jej nieszczęsnemu wielbicielowi. Jego smutna twarz, gdy stał, w chwili rozchodzenia się uczniów, u bramy liceum, napełniała nas radością.

— Patrzcie, puhacz czeka na sowę!—mówiliśmy, nie zważając na to, że mógł nas słyszeć.

IV.

Wkrótce Jakób oznajmił nam, że panna Helena Poinsier zachorowała.

— Nie jest-to nic ważnego, ale wiecie że dziewczęta pieszczą się...

I nie zwracaliśmy uwagi na coraz bardziej strapioną twarz biednego korepetytora.

Jednego ranka, artysta z naszej klasy, Leon Gautier, którego kajety były pełne karykatur Helenki i jej narzeczonego, wyrysował na czarnej tablicy, przed nadejściem korepetytora, szkaradny portret tej panienki, całującej bukiecik fijołków, który trzymała w ręce. Jakaś komiczna legenda, napisana u spodu, pobudziła nas do szalonego śmiechu.

Ludwik Meunier pojawił się w klasie blady, zmieniony, doszedł wśród śmiertelnej ciszy do tablicy i spostrzegłszy ohydną karykaturę, zachwiał się i ukrył twarz w rękach.

Łkanie przerwało ciszę panującą w sali. Patrzyliśmy na niego trochę zalęknieni, on zaś podniósł zwolna głowę i zbolałym głosem powiedział:

— Panowie, proszę was, dajcie pokój tym okrutnym żartom... ta, z której tak szydzicie, umarła dzisiejszej nocy.

Wyszedł potem wolnym krokiem z sali, zostawiając nas przerażonych.

Wszyscy bez wyjątku żałowaliśmy w tej chwili swoich postępków względem tej biednej dziewczyny!

Jakób, najskorszy do ośmieszania tej nieszczęsnej pary, miał nawet łzy w oczach i półgłosem ustawicznie powtarzał:

— Doprawdy, przykro mi jednak że umarła!...

Podczas rekreacyj poobiednich zarzucano go pytaniami, co się dzieje u panny Heleny.

— Bardzo tam smutno! — odpowiedział. — Doktór mówi, że umarła dlatego, iż zadużo pracowała, ciężkie wiodła życie!... Pan Meunier jest tam, pociesza biedną matkę i tak szlocha, że serce omało nie pęknie z żalu. Tacy są biedni, że trzeba było zastawić obrączkę ślubną pani Poinsier na koszta choroby, a pan Meunier sprzedał dziś zegarek swój, żeby mieć za co sprawić pogrzeb.

Wszystko to było opowiedziane z przerwami, prawie z wysiłkiem i jakimś chrapliwym głosem.

— Kiedy pogrzeb?

— Jutro o dziewiątej.

— Możebyśmy poszli...—odezwał się Leon Gautier z niejakiem wahaniem.

— Idźmy... idźmy!... Powinniśmy pójść!... Zamkną nas w kozie, bo się spóźnimy, ale nie dbam o to!

— Ja — odezwał się Jakób, — chciałbym, żeby nieboszczka miała kwiaty na trumnie; gdybyśmy się złożyli, możnaby kupić wieniec.

Mówiąc to, obchodził grono kolegów z nadstawionym kapeluszem.

V.

Następnego ranka udaliśmy się do tego domu, do którego Ludwik Meunier tak długo nosił swe biedne bukieciki fijołków.

Wchodziło się bez pukania, gdyż drzwi były otwarte naoścież.

Jakób, przewodniczący nam, wszedł aż do pokoju, w którym trumna, postawiona na krzesłach, czekała przybycia karawanu.

Drżał on trochę i z oczu jego spadła łza na trumnę, gdy składał na niej wieniec biały, kupiony za oszczędności nasze i przyniesiony dla przebłagania Helenki.

Ludwik Meunier nie spostrzegł nas, stojąc w kącie pokoju, starał się ukoić biedną matkę, a łkania przerywały cochwila jego słodkie słowa.

Nakoniec żałobnicy przyszli po trumnę i Ludwik Meunier poszedł za nią z odkrytą głową. Kilku sąsiadów przyłączyło się także. Nasza gromadka, składająca się z jakich 30 uczniów, powiększała orszak.

Przechodnie odwracali głowy, widząc nas idących poważnie, w skupieniu, za tą bieluchną trumienką.

— Pewnie to jeden z ich kolegów! — mówiono.

Na cmentarzu zdawało się, że biedny korepetytor nie wytrwa w zwykłym spokoju, gdy zasypywano ziemią to, co mu pozostało z jego skromnego marzenia o szczęściu.

Ale przyzwyczajony panować nad swemi wrażeniami, natężył wolę i niebawem przyszedł do siebie.

Po skończonym obrzędzie czekaliśmy z odkrytemi głowami; odwrócił się do nas i, wyciągając rękę, rzekł wśród łkań:

— Dziękuję wam, moi drodzy!

Z. G.

Z DZIEDZINY
NAUKI I WYNALAZKÓW.

Mniemane uśmierzanie fal zapomocą oleju lub oliwy.— Walka drzew leśnych o byt, powstawanie lasów dębowych i ich losy. — Wpływ alkoholu na ustrój dziecinny. — Ochrona sadów wiśniowych od spustoszeń owadu Spilographa Cerasi. — Sposób wytępienia chrabąszczów.

Oddawna rozpowszechniło się mniemanie, że gdy z okrętu płynącego po wzburzonem morzu wylejemy do wody niewielką ilość płynnego tłuszczu lub nafty, wtedy, wmiarę jak cienka warstewka tej cieczy rozpływa się po powierzchni, bałwany nikną i morze się ucisza. Jakkolwiek tego faktu nie umiano sobie objaśnić, wszelako z uwagi na dość znaczną ilość stwierdzających go spostrzeżeń, a zupełny brak dokładnych badań, nie zaprzeczono mu stanowczo. Dopiero w roku bieżącym doktór Kronberg w jednym z tygodników naukowych berlińskich wystąpił z artykułem, w którym, na podstawie własnych spostrzeżeń, usiłuje obalić mniemany wpływ tłuszczów na uśmierzanie bałwanów wodnych.

Zdarzyło się, że do kanału wpadającego do Szprewy wpuszczano przez czas dłuższy olej. Olej ten wpływał do rzeki warstwą na kilka metrów szeroką i odróżniał się wyraźnie swoim kolorem od wody, która pod naciskiem umiarkowanego wiatru bałwaniła się lekko i równomiernie. Ponieważ wypuszczanie oleju ciągnęło się dość długo, mógł przeto doktór Kronberg zbadać starannie odbywające się zjawisko i to z zupełną swobodą i dokładnością, bo mógł mu się przypatrzeć z rozmaitych i przytem zupełnie nieruchomych stanowisk.

Otóż najtroskliwsza obserwacya nie wykazała spostrzegaczowi najmniejszej różnicy między falowaniem czystej wody i wody pokrytej olejem. Była tylko różnica w sposobie, jakim padające promienie światła odbijały się od obu powierzchni. Olej od-

bijał padające światło na wszystkie strony, czyli rozpraszał je tak, jak to na przykład czyni pobielona ściana; woda odbijała je prawidłowo, wedle praw odbicia, jak gładkie, zwierciadlane powierzchnie. Przy niebie zaciągniętem jednostajną barwą szarawo białą, woda przedstawiała ciemną płaszczyznę z jasnemi plamami, które skutkiem falowania przesuwały się przy ustawicznem kołysaniu. Przeciwnie, powierzchnia oleju wydawała się jasno szarą, oprócz kilku miejsc, w których, skutkiem wyjątkowej cienkości warstewki tłuszczu, występowały barwy tęczowe, tegoż pochodzenia co barwy cienkich blaszek Newtona (na przykład tęczowe starych szyb, zwłaszcza w stajniach). Ruchu bałwanów prawie zupełnie nie można było dostrzedz, jednakże chwianie się i przesuwanie jasnych plam na szarem tle powierzchni oleistej dozwalało baczniejszemu spostrzegaczowi stwierdzić jego istnienie.

Kiedy doktór Kronberg, który stał dotąd na brzegu rzeki, zmienił stanowisko w ten sposób, że światło, rozproszone przy odbiciu na wszystkie strony, nie mogło dochodzić do jego oczu, mianowicie kiedy stanął na poblizkim moście i mógł swobodnie i jasno widzieć obie powierzchnie tuż obok siebie, wtedy obie wydały mu się zupełnie jednakowemi i jednakowo falującemi. Ztąd wnioskuje on, że przynajmniej, gdy idzie o fale umiarkowanej wielkości, olej nie wywiera żadnego wpływu na ich uspokojenie.

Czemże objaśnić błędne podania dawniejszych spostrzegaczów? Doktór Kronberg sądzi, że głównym powodem popełnianej przez nich pomyłki było to, że spostrzegali oni zjawisko z punktów ruchomych, najczęściej ze statków będących w ruchu, na których oko badacza nie mogło znaleźć pewnego i dogodnego położenia do odbywania obserwacyj.

Autor obiecuje powtórzyć swoje spostrzeżenia w większych rozmiarach.

* * *

W tomie XIII Roczników botanicznych (Botanische Jahrbücher) z 1891 roku, w pracy pod tytułem „O powstawaniu i o losach lasów dębowych środkowej Rossyi," podaje p. Korczyński bardzo ciekawe badania nad zmianami, jakim tak w czasach jeszcze przedhistorycznych, jak i w następnych, uległa roślinność Europy, a zwłaszcza jej lasy.

W początkach najnowszego okresu geologicznego, wielkie obszary środkowej Europy były zajęte przez tak zwane stepy dyluwialne (potopowe), na których następnie porosły lasy; lasy te z biegiem czasu zmieniały swój charakter, jedne gatunki drzew ustępowały zkolei miejsca innym. Otóż mniemano, że zmiany te były wywoływane przez wpływy klimatyczne, lub przez nowe warunki fizyczno-geograficzne. Autor dowodzi, że rzeczywistą ich przyczyną jest sama natura roślinności okrywającej ziemię, własności gatunków roślinnych.

W czystym lesie dębowym, jak utrzymuje na podstawie swoich badań pan Korczyński, nie wyrastają wcale nowe porosty młodych dąbków, nawet przez całe setki lat, bez przyczynienia się człowieka. Potrzeba koniecznie, aby większa część starodrzewu została usunięta; wtedy dopiero z nasion ukrytych w ziemi zaczynają się rozwijać i wyrastać młode dębczaki, jeżeli tylko nie zagłuszą ich jakie chwasty. Inaczej dzieje się z nasionami innych drzew, potrzebujących mniej światła, bo nasiona te, zaniesione przez wiatry lub w inny sposób do lasu dębowego, kiełkują w nim i rozwijają się pod cieniem dębów, oczywiście tem łatwiej, im las jest mniej zwarty. Ztąd wynika, że wzrost młodych dębów doznaje coraz większej tamy, wmiarę jak obcy przybysze posuwają się od brzegów lasu ku jego wnętrzu, i że wkońcu na miejscu starej dąbrowy powstaje nowy las, złożony z jednego lub kilku innych gatunków drzew.

Tam tylko, gdzie obce nasiona wcale nie mają przystępu, las dębowy może trwać przez czas nieograniczony; że zaś to się prawie nigdzie nie zdarza, przeto lasy dębowe mają byt tylko przelotny, krótkotrwały, tam nawet gdzie ich człowiek nie niszczy. Rozumie się, że tej krótkotrwałości nie należy mierzyć skalą naszego życia, a nawet życia kilku pokoleń.

Dawniej bywało w Europie daleko więcej lasów dębowych, niż dziś. Badając pokłady torfowe, przekonano się, że niegdyś rosły lasy dębowe w południowej Szwecyi, w Danii i w wielu okolicach Niemiec, w których dziś ich już niema. W tych lasach dęby ustąpiły miejsca bukom, a buki zkolei jodłom, które potrzebują daleko mniej światła, niż dęby i buki.

Co się tyczy pierwiastkowego utworzenia się lasów dębowych, to trzeba przyjąć, że albo powstały one na przestrzeniach zupełnie bezleśnych i swobodnych, albo wyrosły na miejscu lasów złożonych z takich drzew, które wymagają jeszcze mniej światła niż dęby. Do takich należą mianowicie modrzewie, brzozy, sosny i osiki, a zwłaszcza dwa pierwsze gatunki, które niewątpliwie mogą być wyparte przez dęby. Walka dębu z sosną daje mniej pewne wypadki, bo bardziej zależy od wpływów ubocznych, jak na przykład od natury gruntu i innych.

Badania torfowisk duńskich i pozostałych w nich szczątków roślinnych przez Steenstrupa dowiodły, że po okresie pierwotnej roślinności, właściwej dziś okolicom przybiegunowym, nastąpił w Danii okres lasów, które z biegiem czasu szły jedne po drugich w następującej kolei: osikowe, sosnowe, dębowe, olszowe, bukowe. Porządek ten odpowiada zupełnie rosnącej zdolności nasion do kiełkowania i rozwijania się w cieniu, jakoż z wymienionych gatunków drzewnych najwięcej światła potrzebuje osika, najwięcej cienia znosi buk. Badania tego rodzaju przekonały, że pierwotne lasy południowej Szwecyi składały się z osik, brzóz i sosen. Już dawniej zauważył Hansen, że w Danii brzoza na lepszym gruncie szybko ustępuje przed bukiem, który ją przerasta, a następnie dusi; podobnież i lasy sosnowe giną pod naciskiem buków.

Najdłużej opiera się bukowi dąb, lecz i ten wkońcu mu ulega. Podług Hansena, oporność gatunków drzewnych w walce ich o byt rośnie w następującym porządku: osika, brzoza, dąb, buk.

W środkowej Rossyi lasy, stanowiące prawie jednociągły pas, odgraniczający stepy od dziedziny lasów iglastych, powstały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ten sposób, że tu dęby zajęły swobodne poprzednio stepy trawiaste, na których wyrosły naprzód osobnemi pniami, które potem związały się w kępy, gaje i wkońcu w obszerne lasy. Gdzie dziś istnieją tu lasy dębowe, albo przynajmniej ich ślady, tam przed 1500 a nawet przed 1000 lat były stepy, które niegdyś ciągnęły się trochę dalej ku północy niż dziś.

Podobnież działo się i na stepach dyluwialnych Europy zachodniej, które zczasem porosły lasami. I tu pierwszym obywatelem lasu był dąb, który, wytworzywszy rozległą dziedzinę puszcz, ustąpił potem miejsca mniej wymagającemu pod względem światła bukowi, a buk usunął się przed jodłą. I w Rossyi dąb stopniowo ustępuje przed jodłą, albo bezpośrednio, albo pośrednio, tak że po dębie przychodzi lipa, a po lipie dopiero jodła.

Wszystkie te przemiany odbywają się niezależnie od zmiany warunków fizyczno-geograficznych, wyłącznie pod wpływem właściwości życiowych i warunków walki o byt.

Dla objaśnienia ich niema więc potrzeby uciekać się do hypotezy o odbywających się wciągu wieków zmianach klimatu, na przykład o przetworzeniu się klimatu lądowego okresu dyluwialnego na wilgotniejszy następnych czasów. Prawda że na przykład w Niemczech klimat przedhistoryczny, kiedy ziemia była całkowicie okryta lasem, był zupełnie inny, niż w dawniejszym okresie stepów dyluwialnych; prawda, że i dziś po wyniszczeniu największej ilości lasów, klimat zmienił się znowu. Ale te przemiany klimatu właśnie zostały wywołane przez zmiany zaszłe w okryciu roślinnem ziemi, więc nie zmiana klimatu wywołała zmianę w ilości i naturze lasów, ale owszem, sama przez nią wywołaną została.

* * *

Profesor uniwersytetu berneńskiego, doktór Demme, ogłosił niedawno broszurę p. t. „Wpływ alkoholu na ustrój dzieci." Pobudką do zwrócenia uwagi szerszego ogółu na ten przedmiot było mu to przekonanie, wyrobione z wieloletniej praktyki w szpitalu dziecinnym, że nadużycie alkoholu między młodzieżą a nawet dziećmi jest mocno rozpowszechnione w naszych czasach. Głównem źródłem tego nadużycia jest bieda panująca w niższych klasach społecznych, za którą idzie i rozuzdanie moralne.

Brak dostatecznego pożywienia, przytrafiający się często w klasie roboczej, popycha ją do picia wódki, która dostaje się i dzieciom, a te, idąc za złym przykładem rodziców, poczynają używać jej bądź jawnie, bądź skrycie. Lecz i rodziny dostatnie, a nawet bogate, nie są wolne od popełniania tego błędu; i u nich wypija się codziennie mniejsza lub większa ilość alkoholu w postaci piwa lub wina, a zły zwyczaj dawania tych napojów przy stole i dzieciom jest bardzo pospolity; zdarza się nawet, że wyjątkowo przy ucztach i uroczystościach dostają one stosunkowo bardzo duże ilości napojów alkoholicznych. Są, i to w wielkiej liczbie, rodzice przekonani, że alkohol działa wzmacniająco; tacy dzieciom będącym jeszcze w niemowlęctwie dolewają do mleka po kropli koniaku lub wódki, a potem, wmiarę jak dzieci stają się starsze, powiększają im codzienną dozę alkoholu. Wiadomo jak ludzie skłonni są do radzenia innym w chorobach, nie mając o tem najmniejszego pojęcia; otóż wielu takich zuchwałych domorosłych lekarzy zaleca znajomym alkohol, jako najlepszy środek na lżejsze zaburzenia i utrudnienia sprawy trawienia. Są to bardzo wielkie a szkodliwe błędy. Prawda że po zażyciu alkoholu następuje pobudzenie środkowego układu nerwowego, które niby to rozpędza uczucie poprzedniego znużenia i daje nowe siły do pracy fizycznej lub umysłowej, ale pobudzenie to jest krótkotrwałe i prędko przechodzi. Tylko herbata i kawa mogą, podług doktora Demmego, rzeczywiście i trwale pobudzać siły cielesne i umysłowe.

Szkodliwy wpływ alkoholu objawia się w następujący sposób w ustroju dziecinnym. Po wypiciu większej ilości naraz występuje prawdziwe ostre zatrucie alkoholiczne, objawiające się jako stan pobudzenia, który może dojść aż do wybuchu kurczów; po takiem czasowem pobudzeniu przychodzi stan obezwładnienia i uśpienia ciała i ducha. Takie wy-

padki prawdziwego upijania się dzieci, na szczęście, przytrafiają się jeszcze dość rzadko. Daleko częściej wydarza się stopniowe lecz ciągle postępujące zniszczenie organizmu dziecinnego, przy stałem, a zwłaszcza nadmiernem używaniu alkoholu.

Ztąd właśnie pochodzi wiele tak pospolitych katarów żołądka i kiszek, sprowadzających wychudnięcie ciała i utratę sił. Częstokroć nadużycie alkoholu powstrzymuje prawidłowy wzrost ciała. Ale najważniejsze zaburzenia zachodzą w układzie nerwowym; modną chorobę wieku, „nerwowość,” dość rozpowszechnioną pośród współczesnej młodzieży, przypisuje profesor berneński przeważnie wpływowi alkoholu. Że wymienione powyżej szkody na zdrowiu wywołuje rzeczywiście alkohol, dowodem jest ta okoliczność, iż po zaprzestaniu jego użycia szkody te zwolna wyrównywają się i giną.

Jednę jeszcze i to niezmiernie wielką krzywdę wyrządza alkohol dzieciom i młodzieży. Oto stępia on stopniowo wszelką energią woli młodzieńczej, bez której młodzieniec nie potrafi się oprzeć najmniejszej pokusie, choćby mu przyszło dla niej narazić na zagubę zdrowie, mienie lub dobre imię i honor. Rozpuszcza on cugle wszystkim namiętnościom; pozbawiony wszelkiej energii i woli, nie jest w możności pohamować ich i ginie bez ratunku.

Bolesna to rzecz, że dzieci pokutują często za grzechy rodziców, bo dowiedzioną jest rzeczą, że alkoholizm oddziaływa rujnująco na zdrowie i długowieczność potomków. Jako choroba umysłowa, ma on wielką skłonność do przechodzenia dziedzictwem na dzieci, co objawia się bądź usposobieniem do pijaństwa, bądź, i to częściej daleko, ogólnem zwyrodnieniem cielesnem i duchowem. Demme porównywał potomstwo dziesięciu małżeństw pijackich z potomkami dziesięciu innych, nieuległych nadużyciom alkoholicznym. Pierwsze miały 57 dzieci, z których 25 umarło w pierwszych tygodniach lub miesiącach życia na wycieńczenie lub kurcze; sześcioro było idyotów, u pięciorga wzrost był uderzająco powstrzymany, pięcioro było chorych na padaczkę, jedno miało silnie rozwiniętą chorobę świętego Wita, wiodącą przymusowo do idyotyzmu, wreszcie u pięciorga były objawy wrodzonego kalectwa.

Na szczęście stosunek liczebny takich wypadków do ogółu ludności jest, podług Demmego, dotąd niewielki zarówno w Szwajcaryi, jak i w Niemczech. Niemniej przeto niebezpieczeństwo istnieje i należy zawczasu przedsiębrać wszelkie możliwe środki dla zabezpieczenia zdrowego rozwoju młodzieży.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z chwili bieżącej.

† Ś. p. Aleksander Ładnowski, jeden z weteranów sceny, nestor artystów dramatycznych, ojciec dwóch córek i syna odznaczających się wyższym talentem scenicznym, a mianowicie pań Rakiewiczowej i Wolskiej, oraz pana Bolesława Ładnowskiego, zmarł w Krakowie dnia 5 bieżącego miesiąca. Sam nieboszczyk, za świetnych czasów teatru krakowskiego pod dyrekcyą Hilarego Meciszewszego, jako kolega Królikowskiego, Rychtera, Chomińskiego i wielu innych, odznaczał się niepospolitym talentem w rolach komicznych.

Specyalnością jego były role żydowskie, w których walczył o prym z nieboszczykiem Panczykowskim; grywał atoli i inne role z wielkiem powodzeniem; był między innemi jednym z najlepszych Papkinów w „Zemście za mur graniczny” Fredry.

Kusił się też Ładnowski i o autorstwo dramatyczne; dramata atoli jego, których napisał kilka, lubo widać w nich znajomość warunków i efektów scenicznych, nie mają wyższej wartości. Inaczej rzecz się ma z jego monodramatami, z których mianowicie „Berek zapieczętowany,” później na „Icka” przemianowany, długi czas posiadał przywilej wprawiania w szaloną wesołość publiczności naszych teatrów, począwszy od warszawskiego aż do amatorskich. A trzeba go było widzieć granego przez samego autora za dobrych jego czasów.

Ładnowski posiadał wielką łatwość wierszowania a przytem humor i dowcip szczery, choć czasami rubaszny; ztąd mnóstwo jego wierszy przygodnych, okolicznościowych, bądź drukowanych, bądź w rękopisach, rozchodziło się po rękach przyjaciół, znajomych i rodziny. Żadne imieniny w tem gronie nie obeszły się bez wiersza Ładnowskiego, który nawet listy wierszem pisywał.

Ładnowski był człowiekiem uczciwym, uczynnym, dobrym kolegą, dolę i niedolę znoszącym wesołym umysłem, ojcem kochającym i kochanym. To też śmierć jego w kółku znających go bliżej i w gronie dzieci wzbudziła żal serdeczny, a pamięć jego długoletnich zasług dla sceny, którą szczerze ukochał, zapewni imieniu jego poczesne wspomnienie na kartach dziejów teatru, któremu całe życie poświęcił.

* **Stypendya z zapisu ś. p Fr. Kamińskiego.** Z zapisu ś. p. Franciszka Kamińskiego wakuje kilka stypendyów w wyższych zakładach naukowych dla niezamożnych studentów Polaków rodem z Królestwa Polskiego, katolików, z rodziny Kamińskich lub Bartkowskich, a w braku tych, z innych rodów. Studenci, pragnący korzystać z tego zapisu, winni się zgłosić do pana Aleksandra Wysockiego, naczelnika kancelaryi komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego w gmachu tego Towarzystwa przy ulicy Erywańskiej pod numerem 1, urzędującego pomiędzy godziną 12 a 2 po południu, i złożyć odpowiednie dowody.

* **Odczyty.** Na dochód Kassy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia doktora Józefa Mianowskiego, będą wygłoszone w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa (Krakowskie-Przedmieście numer 66), we środy i soboty o godzinie 7 wieczorem, odczyty popularno-naukowe, objaśnione odpowiedniemi doświadczeniami, modelami i rysunkami, a mianowicie: dnia 14 b. m. Samuel Dickstein wypowie odczyt „Z historyi wiedzy;” dnia 18-go b. m. Stanisław Kontkiewicz „Węgiel kamienny;” dnia 21-go b. m. Bronisław Znatowicz „Fosfor;” dnia 25-go b. m. J. J. Boguski „Najnowsze postępy w nauce elektryczności;” dnia 28-go b. m. Stanisław Kramsztyk „O księżycu;” dnia 2-go Grudnia Napoleon Milicer „Wino;” dnia 5-go Grudnia Aleksander Fabian „Jak mózg wygląda;” dnia 9-go Grudnia Aleksander Fabian „Jak mózg pracuje;” dnia 12-go Grudnia Władysław Natanson „O temperaturze.” Bilety pojedyncze na każdy odczyt oraz abonamentowe można nabywać w księgarni Wendego, w redakcyi „Wszechświata,” oraz w sali Muzeum przed rozpoczęciem odczytu.

* **Bulwary, bruki, hotel.** Jedno z dwojga: albo kapitaliści francuzcy zakochali się nazabój w Warszawie, tak że niema poświęceń, którychby dla niej nie ponieśli, albo też korzyści, jakie widzą w ulokowaniu kapitałów u nas, są dla nich tak znaczne i obiecujące, że opłacą wszelkie ułatwienia i ustępstwa z ich strony, na jakie gotowymi się okazują.

Co do nas, wolelibyśmy żeby to była owa miłość platoniczna, aniżeli wyrachowanie; tak jak wolelibyśmy, żeby to, co u nas w kraju zarobić można, pozostawało raczej w krajowych kieszeniach, aniżeli w innych, choćby anielskich, ale, jak to powiadają, lepszy rydz, aniżeli nic. My swojemi kapitałami nie przyjdziemy nigdy do bulwarów na Powiślu, jak nie przyszliśmy do tramwajów i do wielu innych rzeczy, a więc lepiej że będziemy mieli bulwary za pieniądze francuzkie, aniżeli gdybyśmy ich wcale posiąść nie mieli, czyli lepiej że będziemy mieli bulwary choć bez naszego zysku, aniżeli żebyśmy się musieli obejść i bez zysku i bez bulwarów.

Tak kwestyą postawiwszy, notujemy, że p. Devars w imieniu kapitalistów francuzkich, których jest przedstawicielem, uczynił w propozycyi budowy bulwarów nowe ustępstwo, odraczając do 5 lat po rozpoczęciu budowy wypłatę sumy 400,000 rs., której poprzednio zaraz na początku robót się domagał. Jest-to ustępstwo bezwzględnie znaczne; obecnie zależeć będzie od zarządu miasta, czy uzna, że ułatwienie to stawia miasto w możności przyjęcia innych warunków projektu francuzkiego.

Agituje się również sprawa położenia przez pana Devarsa bruku drewnianego na całem Krakowskiem-Przedmieściu i Nowym-Świecie, oraz na Miodowej, jeśli się nie mylimy.

Bruki te, które kosztować mają 300,000 rs., konsorcyum francuzkie zaprowadzić ma własnym nakładem, który następnie odbierać sobie będzie sposobem amortyzacyjnym przez lat 26. Miasto płaciłoby od tego kapitału 5 procent, oraz na amortyzacyą 2 procent, zaś na konserwacyą bruków 37,500 rs. rocznie. Tylko specyaliści ocenić mogą, czy ta ostatnia cyfra nie jest zawysoka; inne zresztą warunki są wcale przystępne i przemawiają za przyjęciem tej propozycyi tem bardziej, że bruk drewniany, położony przed trzema laty na części Nowego-Światu, zaraz za Aleją Jerozolimską, bardzo dobrze wytrzymał próbę i okazał się zarówno trwałym, jak przyjemnym w jeżdżeniu.

Dalszy ciąg propozycyj francuzkich stanowi projekt budowy „Hotelu centralnego.” Naturalnie jest to już przedsiębierstwo czysto prywatne, którego przyjście do skutku od woli jedynie i obliczeń przedsiębierców zależeć będzie.

Hotele „centralne” istnieją po wszystkich niemal większych miastach europejskich; czy istnienie podobnego zakładu opłaci się i u nas, gdzie czasami i zwyczajne, pospolite hotele stoją pustkami, orzec trudno.

A może ten „centralny,” mający się wznieść w pobliżu dworca najruchliwszej z tutejszych kolei. Warszawsko-Wiedeńskiej, i być małem eldoradem wszystkich dogodności, konfortów i przyjemności, okaże własności magnetyczne i ściągnie do siebie gości z wszystkich innych „niecentralnych” hotelów?...

Bardzo być może, jeśli ten nowy zakład dbać będzie rzeczywiście o wygodę swojej klienteli, a bardzo jej zdzierać nie będzie; gdyż o tych dotychczasowych, „niecentralnych” dużo byłoby do mówienia pod obudwoma temi względami.

G. Cz.

Redakcya „Tygodnika mód i powieści“ przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

☛ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Октября 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 45.

(Dokończenie).

N. 9—11. Pelerynka. Robota na warsztacie ręcznym. Krój N. VII.

Materyał: włóczka hamburgska, cienka włóczka i bajorek złoty.

Podług formy danej na arkuszu z krojami, pelerynkę taką można uszyć z materyału, odrobić szydełkiem lub na warsztaciku. Potrzeba na nią prostego kawałka 38 c. szerokiego, 112 długiego, dla osób umiejących robotę kacką, dajemy wzór roboty na kołnierz (r. 10) i próbkę dla peleryuki (r. 11). Główna część kroju fig. 44 dopełnia się na ramionach klinikiem fig. 45; od 36 do 37 wypada szew ramienia między 35 i 37 brzeg przymarszcza się ściśle a od 38 do 39 przyszywa kołnierz fig. 46. Podszewka jedwabna; kokardy z wstążki podług r. 9.

N. 12 i 25—26. Płaszczyk przybrany pasmanteryą. Krój N. II.

Podstawę płaszczyka stanowi paletot z przedłużonemi szalowo przodami, a plecami i boczkami sięgającemi tylko do wcięcia stanu; rękawy są zwyczajne wązkie. Zwierzchni płaszczyk szeroki fałdowany dopasowywa się podług fig. 16; na ramionach zeszywa gładko przy X, z przodu pod szyją składając gwiazdką do gwiazdki łączy z paletotem. Tylny brzeg górny jest od 7 do 65 złożony w dwie bardzo głębokie fałdy. Szew tylny dany od 1 do 54 przy 38 przyczepia się niewidocznie do paletota. Model był z ciemnego sukna na czarnej jedwabnej podszewce; przybranie z czarnej pasmanteryi której deseń daliśmy na fig. 18. Kapotka sznelowa.



N. 1. Dolman obłożony piórami. Krój N. XIII. Patrz ryc. 9. N. 2. Paletot z przypinaną kamizelką. Krój N. IX. Patrz ryc. 28. N. 3. Ubranie spacerowe. Krój N. V. Patrz ryc. 10.

N. 13 i 27—28. Paletot naszywany pletnią i kapelusz okrągły. Krój N. III.

Uszyty z czarnego double, formą zupełnie wciętą do figury i niezbyt długą; na formie linia cienka oznacza dokąd dochodzi przybranie z czarnej pletni 2 c. szerokiej i z sutaszu, pierwsza naszyta gładko, drugi zaś w ząbki. Wysoki stojący kołnierz kraje się z podwójnego materyału i przyszywa od d do gwiazdki; pod paletocik nie daje się podszewki tylko szwy i brzegi podszywa listewką jedwabną; zapięcie na kryte haftki. Kapelusz filcowy z dużem rondem przybrany piórami.

N. 15. Suknia z karczkiem.

Bardzo efektownie przedstawia się przy sukni jedwabnej w drobne paseczki, przybranie ze złotej pasmanteryi naszytej kolorowemi szkiełkami, stanowiące kołnierz stojący, karczek, mankiety i pasek. Przody stanika zaszyte w drobne zakładeczki przyszywają się do gładkiego karczka z materyału. Przód i tylne bryty sukni nie są zeszyte z sobą, lecz trochę odsunięte uwidoczniają spódnicę podszewkową jedwabną na której naszyta wzdłuż pasmanterya 12 c. szeroka. Do wyjścia na ulicę może służyć paletocik z tej co suknia materyi, bez rękawów.

N. 16. Suknia z krótkim stanikiem.

Przedni bryt sukni 90 c. szeroki, z jednego boku lekko podpięty dany z jedwabnego baftu żółtego w kolorowy rzucik zaś bryty boczne i tylne są z granatowej krepy wełnianej. Brzegi przednie, jak również 30 c. w górze każdego bocznego bryta zostaje wolno i podług r. 16 upina się w fałdy wachlarzowe, przyczepione niewidocznemi ściegami do przedniego bryta. Tylne bryty spadają gładko zebrane w potrójne kontrafałdy. Krótkie kaftanikowe przody stanika ozdobione wielkiemi metalowemi guzikami, otwierają się szeroko na bufiastej bastowej szmizetce, na którą potrzeba kawałka 40 c. długiego, 42 c. szerokiego, u góry i u dołu zmarszczonego, z jednego boku przyszytego do przodu, z drugiej strony przypinanego na haftki. Na fałdowany pasek przedni trzeba skośnego kawałka 24 c. szerokiego, 39 długiego. Rękawy lekko przymarczone u dołu wszyte w mankiet 8 c. szeroki. Kołnierz wykładany 11 c. szeroki. Kapelusz filcowy marynarski.

N. 17—20 i 32—33. Paletocik z potrójną baskiną, kapotka z piórami boa i rękawiczki ze sztylpami. Krój N. VIII.

Rycina 17 przedstawia paletocik z piaskowego sukna, którego przody mogą być w dwojaki sposób wykończone, jak to wskazują r. 32 i 33. Zwyczajną formę zapinaną środkiem dopasować można podług dobrej formy stanika i fig. 47 (patrz na arkuszu N. III). Jeżeli zapięcie ma być z boku, to od krzyżyka do gwiazdki trzeba dodać klapkę zapinaną na kryte haftki jak na ryc. 33; ryc. 32 przedstawia przody odwinięte w potrójne ranwersy (patrz linie cienkie na fig. 48), ale takie wyłożenie możliwe tylko w porze cieplejszej. Przy każdej z tych odmian utrzymuje się baskina potrójna. Składa się ona z trzech części różnej długości, dopasowanych podług *e* na fig. 47 bez podszewki i bez obrąbka. Górny brzeg odpowiednio podcięty zwężony zaszewką zastosowaną do figury, przyszywa się do stanika od dwukropka do gwiazdki. Kapotka przybrana jasnemi piórami i kokardami aksamitnemi; rękawiczki duńskie ze sztylpami 10 c. długiemi, wyszytem czarnym jedwabnym sznureczkiem i łańcuszkiem z nitki srebrnej. Boa z piór białych, 273 c. długie, służy do wizytowego ubrania.

N. 21—22, 31 i 14. Ubranie spacerowe.

Sukno, aksamit i adamaszek jedwabny w trzech cieniach jednego koloru np. poziomkowego, składają to eleganckie ubranie. Otwarte długie przody kaftanikowe liczą od ramienia do dołu 81 c. plecy 77 c. długości obwód dolny 104 c. i mogą być podług r. 31 otwarte wzdłuż baskiny (29 c.). Podszewka stanika zapina się środkiem na haftki i przykrywa adamaszkową kamizelką zfałdowaną ze skośnego kawałka 40 c. szerokiego. Przy wszyciu wysokich namarszczonych na ramionach rękawów wpuszczone są w szew cztery pukle złożone z czterech prostych aksamitnych kawałków po 7 c. szerokich po 18 c. długich, podwiniętych z brzegów. Kołnierz stojący 6 c. wysoki jest w połowie z aksamitu w połowie z adamaszku. Spódnica sukienna z małym trenem może być przykrojona podług fig. 50; r. 14 przedstawia ją z tyłu. Zupełnie płaska kapotka z brązowego aksamitu, przybrana wokoło dżetem.

N. 23. Suknia z długą bluzką.

Baskina 33 c. długa kraje się w jednym ciągu z bluzką wszytą u góry w okrągły karczek efektownie naszyty szlifowanemi dżetami na szwie dana bardzo suta riusza układana z siepanej materyi. Na wcięciu stanu podszyta listewka do marszczenia przykrytego wstążką związaną z boku w kokardę. Oryginalnie przedstawiają się rękawy tworzące bufy marszczone do łokcia niżej zaś dopełnione obcisłemi sztylpami zapiętemi na dwa rzędy guzików. Odpowiednio do karczka u dołu sukni dana 15 c. szeroka plisa naszyta dżetami.

N. 29—30. Suknia z kamizelką i kapelusz okrągły. Krój N. IX.

Przy gładkiej trochę powłóczystej spódnicy, włożony stanik z kamizelką przedłużoną u dołu w zęby szpiczaste z krótkiemi przodami odwiniętemi w ranwersy 6 c. szerokie. W odstępie 6 c. od środka przodu przyszyta do brzegu stanika baskina 34 c. długa podszewkowana materyą; z boków na baskinie dodane po dwie patki z których większa liczy w górze 29 c. z przodu 18 przy tylnym zaokrąglonym brzegu 12 c. Druga patka jest o 4 c. mniejsza i podobnie jak ranwersy dana z materyi jedwabnej. Suknia z ciemnobrązowego sukna przybranapletnią 5 c. szeroką przerabianą srebrem; kapelusz granatowy filcowy przybrany żółtą aksamitką.

N. 34. Poszewka z szydełkowemi narożnikami. Patrz N. 1 — 2 i 7 — 8 na arkuszu.

Kwadrat środkowy z cienkiego płótna ozdobiony jest na środku wielkim monogramem, zaś cztery narożniki odrabiają się szydełkiem podług wzoru danego w naturalnej wielkości na arkuszu pod N. 1. Wykonanie rzędami tam i napowrót łatwo obliczyć podług tego wzoru, zaś N. 2 daje narożnik łączony z gwiazdek w węzły nawijane podług N. 8. Koronka szydełkowa otaczająca brzegi poszewki powinna być odpowiednia do narożników i naddaje się tylko na rogach.

N. 35 — 36. Stora z haftem słowiańskim. Deseń patrz fig. 55.

Na tło służyć może grube płótno lub gaza niciana, do wyszycia miękki jedwab lub bawełna płaska, ścieg zastosowany płaski zajmowany skośnie lub prosto; prócz tego kwiatki i listki wyszyte ściegiem renaissance. Rycina 35. przedstawia sposób wyszycia; na niej widzimy że każdy listek jest najpierw wyszyty ściegiem płaskim prostym, przeszytym przez wierzch nitkami przytwierdzonemi małemi ściegami podług strzałki.



N. 4-5. Płaszczyk z podwójną pelerynką. Krój N. IX

Opis do N-ru 46.

N. 1 i 9. Dolman obłożony piórami. Krój N. XIII.

Dogodna forma dość długiego dolmana, czyni go odpowiednim dla pań poważniejszych wiekiem. Przody i plecy fig. 66 i 68, połączone są ramiączkiem fig. 67 od S do T i od U do V; zwracamy uwagę, że przy tych częściach kraje się zarazem kołnierz. Po zmarszczeniu ramion od T do V przyszywają się do dolmana rękawy pelerynowe wzdłuż cienkiej linii od Z przez Y, T i V do krzyżyka i od gwiazdki do dwukropka. Model z ciemno brązowego pluszu, na atłasowej watowanej podszewce ma obłożenie z piór 7 c. szerokie, u dołu zaś fantazyjna frendzla z piór 22 c. długa.

N. 2 i 28. Paletot z przypinaną kamizelką. Krój N. IX.

Odpowiedni dla młodej osoby może być noszony otwarty, lub w dnie zimne dopełniony kamizelką wykończoną oddzielnie, którą daje fig. 51. Fig. 50 daje wymiar kroju paletota w maleńkim formacie; kamizelka była z tego samego materyału, na modelu z granatówego double. Dawszy odpowiednie zaszewki podszewkuje się sztywną merlą i atłasem a wzdłuż brzegów przyszywa metalowe guziki, odpowiednie do dziurek obrobionych w przodach paletota, podszewkowanych materyałem do linii cienkiej na fig. 50. Zeszywszy część kołnierza krajaną od przodów z częścią tylną (*e*) i poddawszy sztywnem płótnem i podszewką, wykłada się kołnierz. Brzegi paletota w około przestębnowane dwa razy; z tyłu baskina zostaje otwarta.

N. 3 i 10 Ubranie spacerowe. Krój N. V.

Suknia ciemna sukienna ma stanik z boku zapinany, z krótką baskiną zupełnie przykrytą zachodzącą nawierzch spódnicą, z rękawami i przybraniem z baranka i dopełniona jest krótkim kaftanikiem na jedwabnej podszewce, odpowiednim do wyjścia na ulicę lub później w zimie na ślizgawkę. Przy prawej połowie przodu dodaje się podług linii cienkiej na fig. 24 materyał zachodzący do boku, który bez żadnej zaszewki powinien leżeć gładko. Podszewka stanika zapina się na kryte haftki; z boku zapięcie dane na staniku pod 3 c, szerokiem obłożeniem z baranka, zakończającem i kołnierz fig. 30. Równie szerokie oszycie zakończa i spódnicę której wymiar wskazuje ryc. 34; do ubrania na ślizgawkę trzeba krajać ją krócej. Górny brzeg spódnicy obciskający bez żadnych zaszewek biodra jest przy 44 lekko podpięty w poprzeczną fałdę, która ginie pod głębokiemi podłużnemi fałdami. Środkowy szew tylny przykryty jest pasem baranka w górze 7 u dołu 12 c. szerokim. Czarna pletnia (Herkules) naszyta pięć razy u dołu spódnicy, zdobi także stanik podług r. 10. Na plecach kaftanika barankowego naszyty ząb ze sznura sz[illegible]rskiego podług linii cienkiej na fig. [illegible]. Kapelusz filcowy suto przybany wstążką i rajskiemi piórkami; mufka barankowa.



N. 6-7. Płaszczyk dla starszej osoby. Krój N. XXIV.



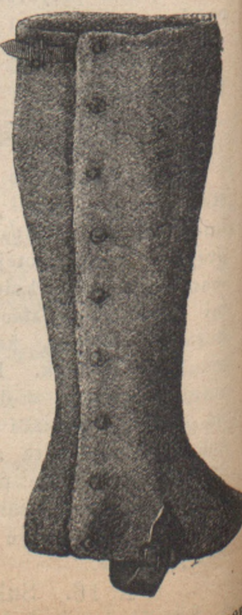
N. 4-5. Płaszczyk z podwójną pelerynką. Krój N. IX.

Model z grubego brązowego szewiotu, z dwoma pelerynkami odpowiedni jest nawet w porze zimowej; fig. 101 wskazuje w maleńkim formacie wymiar zwykłego półwciętego paletota, zaś N. XIV kroju daje w naturalnej wielkości formę, podług której można dopasować płaszczyk. Kołnierz kraje się w jednym ciągu z przodami i plecami; obie części peleryny oznaczone są na fig. 102, dłuższa przez linję kroju, krótsza zwierzchnia przez linję cienką. Po zeszyciu w każdej pelerynie krótkiego szwu tylnego od 57—58 i ramion obydwie przyczepiają się od gwiazdki do dwukropka do płaszczyka.

N. 6 — 7. Płaszczyk dla starszej Krój N. XXIV

Na fig. 109 daliśmy wymiar peleryny, płaszczyk zaś można dopasować podług formy N. XIV na dzisiejszym arkuszu. Rycina 7 przedstawia płaszczyk z materyału *cotelé* w szerokie prążki, obłożony barankiem; podszewkę stanowi materya podwatowana, pelerynę zaś daje się tylko na atłasie. Drugi model (ryc. 6) był z mięsistego materyału w duży deseń, oszyty futrem. U dołu peleryny obłożenie liczy 16 c. szerokości, z przodu i z tyłu brzegi zakończa tylko wypustka futrzana; zapięcie płaszczyka kryje wzdłuż przodów obłożenie 12 cent. szerokie. Zeszywszy najpierw ze sobą wszystkie części płaszczyka i oddzielnie zeszywszy pelerynę, łączy je się ze sobą przy wykroju szyi i przyszywa wzdłuż pleców na 40 c., w odstępie 3 c. od szwu środkowego.





N 11. Kamasz męski myśliwski. Krój Num